

Nic ni ginie

Bolesław Prus



calibre 0.9.27

NIC NIE GINIE!

Bolesław Prus

Wybieram się w daleką drogę i na tych kartkach piszę sobie paszport do kraju ludzkiej pamięci.
Oto mój rysopis.

Lat — około pięćdziesięciu, twarz — żółta i zapadnięta, włosy — siwiejące. Stan — wolny, zajęcie — nauczyciel prywatny, przyrodnik.

Gdzie się wybiera?...

Tam — gdzie odchodzą światła wygasłych ognisk, dźwięki prześpiewanej pieśni i spełnione czyny. Idę do Tego, który na widowisko życia przysłał mnie pomimo mej woli i odwołuje wbrew instynktom.

Trzymając nogę na stopniach tajemniczego wozu, oglądam się za siebie jak podróżny po ukochanej okolicy, nim dadzą sygnał odjazdu. Ten punkcik, który tam het! iskrzy się tak, że od blasku oczy zachodzą łzami, to epoka dzieciństwa. Droga, nad którą miejscami świeci słońce, miejscami kłębi się smutek, to — moje życie. Odnogi, co tu i ówdzie wybiegają z głównego gościńca i toną w pomroce, to — ścieżki, którymi mogłem iść na prawo albo na lewo i — nie poszedłem. Tam — miłość krzyżuje się z obowiązkiem; tu — droga do majątku i stanowiska — z przyszłością mego rodzeństwa. Tam sumienie spycha mnie ze ścieżki dobrobytu. Dalej — rozstajne drogi, gdzie należało wybierać między przywiązaniem do siostry i — jej szczęściem; tu znowu miłość, która tak gdzieś znikła, że ledwie znalazłem po niej ranę w sercu.

A te groby — te groby!...

Co zostało?... Poza mną — fakta, które w świecie zakreślają coraz szersze kręgi; we mnie — żal na dziś, a na jutro — rezygnacja.

Marne życie! a przecież tak drogie, że go człowiek wskrzesza i drugi raz przebiega, choć we wspomnieniach.

Od kilku lat wynajmuję pokój w klasztorze, w którym dogorywa obecnie kilku zakonników i ja z nimi.

Gmach zbudowany jest w czworobok; środek zajmuje kwadratowe podwórze. W lecie zieleni się na nim kilka kęp trawy, jest parę karłowatych drzewek, a parę kamieni, zapewne grobowych, porasta pleśnią i mchem. Wzdłuż jednego boku dziedzińca stoi kościół; trzy inne tworzą się z klasztornych zabudowań, ustawionych w podkowę.

Przez długość tej podkowy ciągną się korytarze. Po jednej, stronie są wielkie okna wychodzące na dziedzińiec, po drugiej — wiszą na ścianach obrazy, niby znowu okna wybite do innego świata. Przedstawiają one sceny ze Starego i Nowego Testamentu, Wygnanie pierwszych ludzi z raju, potop, męki Maehabeuszów, a dalej ukrzyżowanie Piotra, widzenie Jana, męczeństwo Wawrzyńca I wiele innych. Obrazy w 'dzień są bohomazami ; ze starych płócien. zwieszają się strzępy i opada wyblakła farba. Ale noc nadaje im charakter wzniosły. Przy blasku księżyca albo migotaniu zakopconych lampek sklepienie odlatuje w górę, a korytarze wyciągają się jakby w nieskończoność. Cisza potęguje najmniejszy szmer. Każdemu stąpnięciu odpowiadają tysięczne echa; każdy wyraz powtarzają głosy pod posadzką, nad sklepieniem, w ogromnych salach i we framugach zasnutych pajęczyną. A gdy i to umilknie, słyszysz — cichą rozmowę biblioteki z refektarzem, szepty pustych cel i wzdychanie grobów. Niekiedy jeszcze z kościelnego chóru dolatuje stłumiony śpiew. To — modlą się zakonnicy.

Wtedy na obrazach niknie poszarpane płótno, a farby stają się żyjącymi istotami. Przedmioty odzyskują bryłowa-tość. ludzie — ruch. W rękach katów błyszczą stal, krew męczenników płynie jak niegdyś i zmartwychwstaje odwieczna walka ducha z przemocą za wolność.

Jak oni dawno zmarli ci bojownicy, a przecie — ich zwycięstwa żyją po dziś dzień w myślach, ustawach i w historii pokoleń. Nawet łzy ich — nie wyschły, i jak źródło opokę, wciąż przebijają ludzkie okrucieństwo.

Klasztor stoi na górze, a mój pokój jest narożny. Jedno okno patrzy na miasto, drugie na rozległe łąki, jeszcze pokryte śniegiem. W kącie izby znajduje się moje łóżko, na środku — stół i parę krzeseł. Szafy i półki są wpuszczone w ściany; mury mają kilką łokci grubości; zakratowane okna wznoszą się nad ziemią na jakie trzy piętra.

Póki mogłem zajmować się lekcjami, byłem tu tylko gościem, ale dziś całe dni schodzą mi w klasztornej celi. Prócz starego eks-zakrystiana, który rano czyści odzież, a w południe przynosi mi obiad, nie widuję nikogo. Nim się dobrze rozwidni, grzeję sobie mleko na maszynie, potem układam książki, czytam albo rozmyślam. Jestem panem swego czasu i pracy; mam wakacje, do których wzdychałem od wielu lat, i może byłbym zupełnie szczęśliwy, gdyby nie chwilowe ataki rozdrażnienia.

Wtedy dręczy mnie samotność, przygniatają mury, a widok śniegu napęlnia rozpaczą. Przy widuje mi się, że we framudze okna czyha śmierć jak gotujący się do skoku wąż, który mnie zatruje jadem i zdławi zimnym cielskiem. Zrywam się i chcę uciekać tam — gdzie jest lato, a. przynajmniej gdzie są ludzkie twarze. Zdaje mi się, że najmniejszy objaw współczucia ukoiłby strwożoną duszę. Prędko ubieram się, chwytam za klamkę i — przypominam sobie, że nie mam do kogo pójść!... Moi są daleko, a obcych cóż ja obchodzę?...

Dzisiejszej nocy śniło mi się, że. jestem wyrostkiem. Bawiłem się z młodszym rodzeństwem, a gdy jedno z nich rzuciło kapelusz na drzewo, wlałem po niego bez utrudzenia. Dziwiłem się swojej

zręczności i temu, że twarze braci i siostry są niewyraźne, jakby nie znane mi.

Ocknąłem się, ale nie otwierałem oczu, aby nie spłoszyć . marzeń. Niechże choć we śnie przyjrę się tym, których nie zobaczę nigdy.

Jak tu pusto, jakże mi strasznie w tej celi!

Czy wśród takiej ciszy nie upływa wieczność? Czy śmierć nie jest wiekuistym marzeniem o nicości między przedmiotami, w których wygasła myśl, uczucie, nawet ruch?...

Nagle usłyszałem stłumiony dźwięk. Na dachu śnieg tajał, a krople jego, padając na blachę pod oknem, wybijały trzy różne tony: smutny, smutniejszy i jeszcze smutniejszy...

Otworzyłem oczy. Nad łąkami weszło słońce i czerwonym światłem zalało sklepienie izby, rysując na nim wizerunek kraty w oknie. Stopniowo czerwoność bladła, krata posuwała się coraz dalej, w końcu zeszła na ścianę, a na dworze — zaświergotały ptaki.

Za oknem krople wciąż uderzają w blachę, dzwoniąc trzema tonami: żal... żal... żal!... jakby płakały nade mną.

Nie — w naturze nie ma rzeczy martwych ani nieczułych. Są tylko różne formy życia, jedne więcej, drugie mniej dostępne dla rozumu i zmysłów. Dopiero na granicy istnienia człowiek spostrzega nowe widnokreśli i cały świat bytów w tym, co uważał za nicość i próżnię...

W takim dziwnym miejscu znalazłem schronienie ja — rozbitek. Jestem odcięty od ludzi, od ich anielskich złudzeń i zwierzęcych popędów. Otacza mnie przeszłość i nieśmiertelna natura. Tu wiatr jest oddechem, kropla wody żyjącą istotą. Z pustek płyną fale wrażeń i myśli, cichość przemawia ogromnym głosem, samotność — uczy. Zaorana cierpieniami dusza okrywa się plonem nowych idei. Na życie, które minęło, i na śmierć, która już do drzwi puka, patrzę z innego punktu niż wszyscy.

Jestże to rozwiązanie zagadki bytu czy ostatnie złudzenie?

Tydzień temu, wybierając się na ceremonialną wizytę, dobyteń najlepszy surdut, który od roku nie tknięty wypoczywa w szafie. Ale kiedym go przymierzył, opanowała mnie nagła trwoga: surdut — wisiał jak worek!

Przez chwilę myślałem, że go odmienił mój zakrystian. Spojrzałem na nazwisko krawca — ten sam. Kiedyś przy klapie oderwał mi się guzik, który naprędce przyszyłem białą nitką i zaczerniłem atramentem. Po sprawdzeniu okazało się, że nic jest ta sama, tylko atrament wyblaknął.

W końcu — znalazłem w kieszeni zmiętą kartkę, na której przed laty zapisywałem godziny lekcji i nazwiska uczniów.

Nie ma wątpliwości, to mój surdut; a nie przystaje do figury dlatego, że od roku strasznie schudłem...

Teraz dopiero przyszedł mi na myśl mój kaszel, gorączka i ciągły upadek sił. Widocznie nurtuje mnie ciężka niemoc, na którą wśród zajęć nie zwracałem uwagi.

Ale czy dziś nie będzie już spóźnioną troską o zdrowie?...

Spojrzałem w lusterko i dla pewności wydobyłem swoją fotografią robioną przed dziesięcioma laty. Okropna zmiana. Wówczas wyglądałem jak olbrzym, bah! nazywano mnie pięknym mężczyzną, a dziś — wyglądam jak szkielet...

Nie mogłem się łudzić. Tak gwałtowne zmiany, w połączeniu z okolicznościami, które sobie teraz dopiero przypominałem, w moim wieku — znaczą śmierć. Oby tylko nie poprzedziło jej długie konanie!...

Oslabiony, upadłem na krzesło. Pomimo właściwego mi stoicyzmu uczułem obawę i chęć ratowania się. Chciałem pisać do siostry, do brata, który jest lekarzem, i prosić o pomoc.

Ale wkrótce ocknął się rozsądek. Moja siostra mieszka w innej części świata z mężem i dziećmi; brat także posiada własną rodzinę i pomimo obszernej praktyki nie zbiera majątku. Godziż się burzyć ich spokój i narażać na koszt, które ani o jedną godzinę nie opóźnią mego losu?

Z kolei przemówiła sprawiedliwość. Prawda, że oni zawdzięczają mi obecne stanowiska i szczęście. Wiem, że oboje z radością spłaciliby dług zaciągnięty w dzieciństwie.

Ale czy wypada mi przyjmować spłatę, zatruwać im życie i psuć własne dzieło?...

Zbudziło się we mnie uczucie skąpca. Społeczność jest skarbnicą, do której i ja przecie złożyłem grosz i nie cofnę go dla chwilowej słabości.. Bądźcie tam szczęśliwi!... Niech wasze siły i troskliwość zwrócą się do tego, co zaczyna żyć, nie uszczuplone przez człowieka, który dziś lub jutro będzie tylko trupem. Gdybym przyjął waszą opiekę, stanąłbym jak wyrodek wobec tych członków rodziny, którzy poświęcili się dla innych.

Takie myśli zapanowały mi w duszy; tylko w głębi, na dnie, wiło się coś, jakby — żal i obawa.

Człowiek jest zawsze człowiekiem!

Poszedłem do najlepszego doktora, nie tyle po radę, w której skuteczność nie wierzyłem, ile dla dowiedzenia się, na jak długo wystarczy mi życia.

Doktor ów jest trochę dziwak, ale zdatny. W jego przedpokoju tłoczy się pełno ludzi, których leczy za małe pieniądze, i, jeżeli hałasują, wymyśla im przez drzwi gabinetu.

Niedługo czekałem, bo mnie spostrzegł między pacjentami i zaprosił. Jest to człowiek niski, tłusty, zadyszany. Gdy wszedłem do gabinetu, posadził mnie na szeszlunku i poczęstował cygarem mówiąc:

— Cóż tu profesora sprowadza?... O ile pamiętam, unikałeś pan doktorów jak morowego

powietrza i — słusznie!... My nic nie wiemy, chyba to jedno, że Żydzi są największe łajdaki. Mam rację czy nie mam racji?...

Wlepił we mnie latające oczki i wziął za puls.

— Musisz profesor — mówił dalej — mieć liche apetyt, sen diabła wart, w nocy pocisz się, kaszlesz, a może i trochę krwią plujesz?... Wyobraź pan sobie, jak te łajdaki szachrują...

Pochylił mnie na szezlongu, osłuchując płuca i serce.

— Właśnie dziś byłem u jednego, który ma sklep z mosiądzem i galopujące suchoty. Wierzy osioł jak w talmud w to, że mogę mu przedłużyć życie, ale swoją drogą, gdym wszedł, trzymał on już w jednej ręce rubla, a w drugiej — pół rubla na honorarium... Zapisałem mu dwie recepty i spostrzegłem, że chce mi dać rubla. Ale później rozmyślił się i bojąc się, ażebym go nie zbeształ, dał dla mnie pół rubla w niezawodne ręce swojej małżonki.

Doktor siadł przy biurku i opowiadał dalej, pisząc receptę:

— Wyobraź sobie, profesor, że stara czarownica z tego półrubla ukradła dziesiątkę i oddała trzy złote zięciowi. Ten kajdaniarz ukradł znowu dziesiątkę i wręczył mi — dwa złote groszy dwadzieścia... Gdyby rodzina szanownego pacjenta była liczniejsza, może bym nie dostał nic, a może — musiałbym dołożyć. Masz profesor Żydów, oni tacy zawsze!...

Podał mi receptę i zaczął informować:

— Musisz profesor brać te proszki, porzucić lekcje i położyć się do łóżka. Za parę dni będę u pana, a wtedy zobaczymy, co dalej robić.

— Za pozwoleniem! — odezwałem się. — Doktor wie, że ja utrzymuję się z lekcji, a mam ledwie czterysta rubli oszczędności. Otóż chciałbym wiedzieć, czy moje środki pozwolą na długi wypoczynek...

Doktor zamyślił się.

— A ileż profesor wydajesz dziennie na życie?... — spytał.

— Rubla.

— Rubla życie — mruzczał doktor — lekarstwa liczymy dwa złote...

Nagle zawołał głośno, klepiąc mnie:

— Bądź profesor spokojny. Pański fundusz wystarczy na... trzy kuracje!...

Dowiedziałem się tedy, czego mi było potrzeba. Pożegnałem oryginalnego doktora i na odchodne chciałem mu wręczyć honorarium. Ale on wziął mnie lekko za ramię i wyprowadził za drzwi, mówiąc:

— Razem!... razem zapłacisz pan, jak skończymy kuracją... Ale prawda, że mosiężnik gałgan?... Oni tacy wszyscy!...

Doktor jest w naszym mieście nie tylko najzdolniejszym lekarzem, ale także najlepszym muzykiem i w uroczyste święta grywa w kościele na organach. Sam pochodzi z Żydów i jeszcze się nie ochrzcił.

Wszedłem od niego w dziwnym nastroju.

Miałem pewność, że umrę najpóźniej za kilka miesięcy; doświadczeni lekarze nie myślą się co do takich pacjentów, jakim ja jestem... Mimo to nie czułem trwogi, tylko wrażenie — jakby coś we mnie skamieniało. Spokojnie myślałem, że porzucę lekcje, aby którego z uczniów nie zarazić suchotami, ale że — nie będę się kładł do łóżka. Nie warto przedłużać takiego zdrowia!

Szedłem przez ulicę z zaciśniętymi rękami, pewnym krokiem, jak idą na rusztowanie skazańcy, którzy nie chcą okazać słabości ducha. Gdyby mi się otworzył grób pod nogami, wstąpiłbym tam bez wahania. Dziwiłem się tylko (śmieszne pretensje!), że pomimo tak wielkiej zmiany w mojej duszy, w mieście nie zmieniło się nic.

Gromada uczniów biegnie ze szkoły, potrącając się z krzykiem. Kilku Żydów rozprawia o interesach z takim zajęciem, jak gdyby nikt na świecie nie umierał. Dzień jest piękny, młodzi urzędnicy z wielką energią kłaniają się uśmiechniętym kobietom. Przez okna cukierni widzę ludzi znacznie starszych ode mnie, którzy grają w szachy albo czytają gazety...

Widok zwykły. A przecież wydał mi się nadzwyczajnym. Moja tłumiona boleść była tak wielka, iż zdawało mi się, że napęłnia cały świat.

Gdy wszedłem do klasztoru, korytarze jaśniały od słońca. Niebo było czyste, a przez wielkie okna wlewała się złota powódź blasków. Można by sądzić, że jest już maj, a był dopiero początek marca. Naprzeciw jednego okna stał, grzejąc się w słońcu, dziewięćdziesięcioletni zakonnik, a gdy się zbliżył do niego, odezwał się z wybuchem szczerego śmiechu:

— Patrz asan dobrodziej... cha! cha! cha!... za parę tygodni będzie wiosna. Widziałem pączki na krzakach...

Nie pamiętam, com mu odpowiedział, i spiesznie pobiegłem do swojej izby. Tu znowu pełno słońca. Z podwórza dolatuje odgłos rąbanego drzewa i cichy świergot wróbli. Ale na łąkach, daleko, leży jeszcze śnieg. Drogą od miasta wlecze się chłop sankami zaprzężonymi w jednego konia, a na sadzawce, na której lód już taje, ślizga się kilku chłopców. Ścigają się, krążą wkoło, jeden upadł...

Tak samo i ja bawiłem się niedawno... Nawet zdaje mi się, że jeszcze powinien być między nimi...

O Boże! czy życie nie jest... szyderstwem?

I otóż stoję przed tobą — widmo moich lat młodzieńczych — złamany, zużyty, samotny i zapomniany. Wielu drwiło ze mnie, niektórzy litowali się, a wszyscy mówili, że zmarnowałem zdolności i siły.

Nie spowiadam się przed Bogiem, bo On, jeżeli jest, osądzi mnie lepiej, niżbym ja sam potrafił. Nie spowiadam się przed ludźmi, ci bowiem już wydali na mnie wyrok, nie czytając skargi i nie słuchając obrony. Zdaję tylko rachunek przed tobą, przeszłości moja — i — przed sobą.

Tak wygląda miejsce, w którym dogorywa moja nicość. Zdaje mi się, że przed wiekami, w epoce młodości świata, istniał olbrzymi twór: Ascetyzm, po którym dziś została tylko skorupa — klasztor. Tu znalazłem schronienie ja, rozbitek czy maruder. Otacza mnie przeszłość i nieśmiertelna natura. Tu kropla wody jest istotą żyjącą, a wiatr oddechem. Z pustek płynie powódź wrażeń i myśli, a cichość przemawia głosem ogromnym. Jestem odcięty od ludzi, od ich anielskich złudzeń i zwierzęcych zabiegów. Przeciagam się na łożu samotności. Dusza moja, zorana cierpieniem, zasiana doświadczeniem i nauką, pokrywa się plonem nowych idei. Na życie, które minęło, i na śmierć, która idzie, patrzę dziś z punktu całkiem różnego niż dotychczas.

W takim otoczeniu i pod takimi wpływami chcę pisać własny zyciorys i przedstawić tych wszystkich, o których, jak i o mnie, mówiono, że się zmarnowali.

Życie jest jak promień słońca. Gdy raz upadło na ziemię, musi albo odbić się od czegoś, albo w coś wsiąknąć.

Gdy promień odbija się, a szczególnie od złota, orderów, jaskrawych barw lub pięknej twarzy, wówczas jest widzialny, zwraca powszechną uwagę i zdobywa sławę.

Lecz gdy promień słoneczny wsiąknie w coś, wtedy znika dla oczu, a pospólstwo mówi o nim, że się zmarnował. On tymczasem budzi rośliny z zimowego snu, daje zielen ich liściom, zapach kwiatom. Podtrzymuje wszelkie istnienie, zapala uczucia, nadaje polot myślom.

Był czas, że wzdychał do rozgłosu i żałował zmarnowanego życia. Lecz jeżeli, o Duchu świata, znowu rzucisz mnie w gromady istot goniących za szczęściem, wybacz nierozsądne narzekania i

spraw, abym na drugiej stacji był także promieniem, który zniknął, nie zaś tym, który się odbił.

IV

Ojciec mój był drobnym szlachcicem. Miał pięćdziesiąt morgów ziemi, na niej chatę i budowle gospodarskie. Sam robił w polu, a matka w domu.

Jeszcze teraz zdaje mi się, że widzę na wzgórku wielką sosnę z rudym pniem, z gałęzmi jak zielony parasol, a pod nią ojca, który podkasawszy granatową kapotę, idzie za pługiem ciągnionym przez dwa woły gniade. Za nim skaczą wrony polujące na pędraki w świeżych skibach. Gdybym zaś słuch lepiej wyteżył, może z odległości czterdziestu lat doleciałoby mnie echo śpiewu skowronków i nawoływań: byś kso! kso!...

Matka pracowała wraz ze sługami. Ale że było ich tylko dwie na duży dom, więc pracowała ciężko. Piekła chleb, gotowała obiady, prała naszą bieliznę z grubego płótna, doiła krowy i zbierała pokrzywy w rowach albo pod płotem.

Przez dziesięć lat byłem jedynakiem. Później urodził się brat, po nim siostra i znowu brat.

Nie mieliśmy zbytków, lecz mierny dostatek. Piękny chleb razowy, i pszenne bułki piekły się co tydzień. W spiżarni ciasno było między workami kaszy, mąki, połciami słoniny, kręgami sadła. Znajdował się tam jeszcze miód, powidła i różne suszeniny. W lochu naprzeciw okna matki stały ładysze kwaśnego mleka. W spichrzu bywało zawsze dosyć ziarna.

Kilka razy na rok przychodziły do nas Żydki z miasteczka. Jeden garbaty i łysy, który szył odzienie z domowego albo kupnego sukna, drugi wysoki i kaprawy robił dla nas obuwie, a uprząż dla koni. Co uszyli, to szło do komory, gdzie już i tak wisiało pełne kapot, czapek, kożuchów, kaftanów i spódnic. Widziałem tam i pałasz w kącie. Ale klinga jego zardzewiała, a skórzaną pochwę coś objadło, bo ojciec mój po sejmikach nie jeździł, a za czasów Napoleona — z karabinem obszedł Europę.

Dzielny to był starzec. Miał tęgi wzrost, twarz rumianą, oczy siwe i bystre. Kiedy wrócił z wojska, nie poszedł na cudzy chleb, choć go zapraszali, ale wziął się do pług. Własnej ziemi nie posiadał, więc najął się do służby, do sąsiada swoich rodziców. Pracował jak parobek. Za to po kilku latach szlachcic dał mu córkę i grunt.

Ja, syn najstarszy, przeznaczony byłem na dziedzica tej fortuny, którą ojciec miał zamiar zaokrąglić. W tym celu składał nawet pieniądze do malowanej skrzyni.

Na szczęście czy nieszczęście rodzicielskie plany nigdy się nie spełniły.

Dokoła nas mieszkali sąsiedzi, ubożsi i bogatsi. Ten, który siedział najbliżej, miał pięćset morgów i żył po pańsku. Trzymał ekonoma, bił chłopów, a syna, mego rówieśnika, oddawał do szkół.

Z paniczem tym znaliśmy się od dziecka. W święta jeździliśmy razem konno: on na siodle, a ja oklep. W dzień, powszedni łowiliśmy raki w rzece albo wypatrywaliśmy gniazda w lesie.

Gdy jednak chłopiec wstąpił do szkół, zaraz w pierwszym roku nauczył się dumy, choć nie dostał promocji. Po- czął chodzić między opłotkami w mundurze z kołnierzem czerwonym, a ze'mną już nie bawił się.

— Nie wdaję się z tobą! — powiedział mi raz — bó twój ojciec orze jak chłop, a ty świnię pasiesz.

Ja świń nie pasłem. Tylko jak wleli im żarcie w koryto, odpędzałem psy, które wlażyły tam z nogami i łbami i same zjadały wszystko. Swoją drogą, gdy dawny przyjaciel na zwał mnie świniopasem, rozbeczałem się tak, że ledwie konwulsji nie dostał.

Aż zląkł się ojciec, który z drzewem przyjechał z lasu. Gdym mu zaś opowiedział o moim wstydzie, wpadł w zadumę. Siadł na pniu przed domem, oparł brodę na rękach i długo rozmyślał. A

potem z matką radzili w izbie do późnej nocy, aż się w kaganku cały knot wypalił.

Na drugi dzień wydobył ojciec ze skrzyni nasz dyplom szlachecki i parę worków rubli srebrnych. Uważnie odczytał dyplom, przerachował pieniądze, a potem mnie zawołał.

— Widku! — rzekł — pójdziesz i ty do szkół i będziesz nosił mundur, ażeby cię byle kto nie wyzywał od świniopasów.

Eozplakałem się i upadłem ojcu do nóg. Całowałem go tak serdecznie, że kiedym wstał, musiałem pójść do kuchni i umyć się, bom sobie nos o buty powalał.

Gdym wrócił, ojciec znowu począł mówić:

— Słyszysz, Wieku? Na twoją naukę pójdzie grosz ciężko zapracowany. Zbierałem go na posag dla reszty dzieci. Pamiętaj więc, żebyś to zwrócił, jak skończysz cztery klasy i zostaniesz księdzem, bo tak chce matka. Nie mnie zwró-cisz, bo ja już w grobie będę za osiem lat (ojciec na każdą klasę przeznaczał mi dwa lata!), ale matce i młodszemu. Chleb im dasz i opiekę, gdy będą w potrzebie. Pamiętaj!

Ojciec, zwykle milczący, spracował się tak, że otarł pot rękawem. Ja płakałem, aż mi oczy zapuchły. Upomnienie ojca, wzruszyło mnie jak największe zakłęcie, bom przywykł każde słowo jego uważać za doniosły wypadek. Prosty ten człowiek wobec ludzi przemawiał czynami. Wyrazów używał tam tylko, gdzie czyny nie sięgały:— najczęściej w rozmowie z Bogiem.

Takim sposobem wszedłem do szkół. Ale dawny mój przyjaciel, choć go już w drugiej klasie dogoniłem, a później prześcignąłem, wciąż dawał mi przezwisko świniopasa. Ustatkował się dopiero, gdy mu raz siostry, kąpiąc się w rzece, tonęły, a mój ojciec wyciągnął je narażeniem własnego życia.

Kiedym ukończył cztery klasy prędszej, niż się spodziewano, spytała mnie matka, czy zechcę wstąpić do seminarium. Milczałem — patrząc w ziemię, gotowy spełnić rozkaz i rozpocząć wypłatę zaciągniętego długu. Ale ojciec wyczytał widać z mojej twarzy wahanie się, bo odciągnął matkę na bok i znowu złożyli radę.

Rezultat był ten, że miał wrócić do szkół i pracować na patent z siedmiu klas. Ojciec wydobył ze skrzyni nową sumę pieniędzy i rzekł tylko te słowa:

— A pamiętaj, że to dług! Szkoły ukończyłem z nagrodą, mając lat dziewiętnaście.

Byłem zdrow i silny, właśnie jak syn człowieka, który chodził za pługiem. W piersiach coś mi się paliło, ale nie uderzało do głowy, w której panował rozsądek. Rwałem się do życia, ale zaciągnięty u rodziców dług gotów byłem spłacić. Tylko matce, gdy zobaczyła, że tak wyrósł, zrobiło się żal oddawać mnie do seminarium. Więc ucałowała mnie w głowę (łzy jej dziś czuję na twarzy!) i rzekła cicho do ojca:

— Kaziu! chyba go nie oddamy do księży?... Ojciec spojrział na nas, wzruszając ramionami.

— A on tam po co? — odparł.

Od tej chwili mogłem sam wybierać zawód. Obijało mi się nieraz o uszy słówko: uniwersytet, więc postanowiłem wstąpić do uniwersytetu. Nie chcąc jednak nadużywać łaski rodziców, pojechałem wprzód na guwernerkę.

Byłem tam dwa lata. Za moje pieniądze oddałem młodszego brata do szkół, sprawiłem matce salopę, a ojcu barany. Przy ostatecznym jednak rachunku okazało się, że na dalszą naukę mam tylko pięćdziesiąt rubli.

Ojciec znowu przyszedł mi z pomocą. Nie wspominał o tym, że już trzeci raz u niego dług zaciągam, ale przed wyjazdem szepnął mi do ucha:

— Wicusiu! ja myślę, że Jasiowi te szkoły nie są potrzebne.

Wstyd mnie ogarnął, bo to moja zarozumiałość wypchnęła chłopca w świat i przysporzyła

wydatków ojcu. Więc dla uspokojenia się powiedziałem, że za rok, a za dwa najpóźniej, na wychowanie młodszych dzieci — ja będę przysyłał pieniądze.

— Ja skończyłem szkoły — rzekłem — byłoby więc sprawiedliwie, ażeby nie skończyli ich młodszy, z mojej winy?

A ojciec na to:

— Jesteś dorosły i masz więcej rozumu niż ja. Rób, jak chcesz. Niechaj wszyscy idą do szkół, jeżeli ma to być szczęście.

W owej epoce najbliższy uniwersytet był w Kijowie. Jechało się tam furami żydowskimi, bez mała tydzień i dłużej. Podróże były kosztowne, więc choć niekiedy zateśkniłem do domu, nie odwiedzałem go przez cztery lata.

W początkach zaznałem dużo biedy. Wstąpiłem na wydział prawny i dopiero po upływie roku przeszedłem na wydział fizyko-matematyczny, który najlepiej odpowiadał memu usposobieniu i zamiłowaniu.

W uniwersytecie kształciło się mnóstwo młodzieży z różnych okolic kraju. Wszyscy oni z łatwością zawiązywali stosunki i żyli gromadą, na wspólny koszt. Ja tylko nie miałem towarzystwa. Nędza zrobiła mnie nieśmiałym, praca — odludkiem, żarty kolegów — opryskliwym. Przez całe tygodnie nie rozmawiałem z nikim, przez miesiące karmiłem się razowym chlebem i herbatą. Może bym i umarł z wyczerpania sił, gdyby nie drobne zasiłki z domu. Ojciec domyślał się z listów, że mi źle w Kijowie, więc przysyłał, ile tylko mógł, nie wahając się zaciągać długów.

Dopiero egzamin złożony na pierwszym kursie w nieoczekiwany sposób wpłynął na zmianę mojej doli. Zwrócił on uwagę profesorów i zjednał przyjaźń kolegów. W ciągu dwu tygodni ja, okrzyczany za dziwaka, zyskałem sławę najzdolniejszego ucznia, znalazłem przyjaciół i kilku protektorów. Mój pokój na Padole pod strychem, gdzie był tylko stół i drewniana paka, napełnił się gośćmi. Oni podziwiali moją nędzę i naukę, a ja — żem tylu życzliwych zobaczył w swym mieszkaniu.

Od tego czasu jak grad spadały na mnie wykrzykniki pochwalne, zaproszenia, lekcje. Pewien bogaty szlachcic ukraiński ofiarował mi posadę dozorczy swoich synów, zbyt kowne mieszkanie, życie i kilkaset rubli pensji, nie licząc podarunków.

Nagle przejście od niedostatku do nadmiaru zachwiało moją równowagę duchową. Byłem młody, pieniędzy miałem dość, więc — zbudziła się we mnie chęć używania. Wpadłem w odmet znajomości, zabaw i wydatków. Nie przeszkadzało mi to w naukach, ale do pewnego stopnia zatarło wspomnienia o rodzinie. Byłem tak szczęśliwy, że mi przez głowę nie przeszła myśl o kłopotach w domu. Toteż w owej epoce, gdy mój ojciec, skutkiem wydatków na brata i klęsk w gospodarstwie, musiał zaciągać długi coraz większe, ja trwoniłem pieniądze. Czasami tylko ogarniał mnie nieokreślony niepokój, a wtedy wysyłałem do domu — pakę bąkalij i suszonych konfitur kijowskich.

Pożyczki na edukację, wzięte z rodzinnego kapitału, poszły w niepamięć. Chwilowo zapomniałem o obowiązku spłacania ich. Był to ciężki błąd, za którym niedługo nastąpiła pokuta.

Gdy złożyłem egzamin na czwarty kurs, zdawało się, że przyszłość mam już w kieszeni. Byłem przedmiotem pewnego rodzaju licytacji dla profesorów. Jeden zachęcał mnie do wyłącznego zajęcia się botaniką. Drugi zapewniał, że tylko w dziedzinie chemii znajdę pole dla swoich zdolności. Trzeci twierdził, że popełniłbym zdradę, gdybym nie poświęcił się geologii. Wszyscy trzej obiecywali wyrobić mi stypendia i ułatwić wyjazd za granicę.

Takie zachęty i obietnice pochlebiały mojej dumie. Nie myślałem jednak o szukaniu przyszłości w nauce teoretycznej, mając przed sobą ponętniejsze widoki.

Szlachcic, u którego byłem guwernerem, miał ogromne dobra w okolicy żyznej, posiadającej wyborne środki komunikacji. Był to człowiek wykształcony i przedsiębiorczy, zakładał cukrownie,

dystylarnie, olejarnie, browary i mnożył majątek.

Fabryk tych było już siedem, a miało być dwa razy więcej. Procent przynosiły dobry, mogły jednak przynosić jeszcze lepszy. Główną zawadę w ich rozwoju stanowił brak kierowników, czemu szlachcic postanowił zaradzić przygotowując specjalistów na własny koszt.

Między innymi zwrócił się do mnie. Ofiarował mi tysiąc rubli rocznie, z warunkiem, że po skończeniu uniwersytetu wyjadę na trzy lata za granicę dla obeznania się z dystylatorstwem i cukrownictwem. Potem miałem zostać u, niego naczelnym dyrektorem kilku fabryk, ze znaczną pensją i procentami od czystych zysków. Szlachcic twierdził, że gdyby mi się udało wprowadzić choćby niewielkie ulepszenia do jego zakładów, po pewnym czasie mógłbym zarabiać od piętnastu do dwudziestu tysięcy rubli rocznie. Ludzie fachowi potwierdzali jego rachunek.

Rozumie się, że propozycją przyjąłem bez wahania. Wprawdzie czekało mnie znowu kilka lat pracy i zależności. Wiedziałem jednak, że potem dla całej rodziny będę miał zapewniony byt, o jakim ani ja, ani ojciec nie mogliśmy marzyć przed laty.

Na wakacje, wzięwszy od innego dobroczyńcy urlop i paręset rubli, pojechałem do rodziców — ekstrapocztą.

Po kilkudniowej forsownej podróży stanąłem w domu o północy. Księżyc nie świecił. Przy słabym migotaniu gwiazd wieś nasza wydała mi się ubogą, a gościniec — węższym niż dawniej.

Rodzice uwiadomieni o moim przyjeździe czuwali, dzieci spały od kilku godzin. Na odgłos trąbki pocztylionskiej ojciec i matka wybiegli przed dom. Zastałem ich u wrót, które rozpadły się ze starości.

Kiedym wysiadł z bryczki, matka zapytała: kto to? i nie czekając odpowiedzi objęła mnie za szyję, a po niej ojciec.

Nie mówiliśmy nic, nie mogliśmy nawet przypatrzeć się naszym twarzom. Czulem tylko, że moja nauka, sława, dochody i świetne widoki topnieją wobec przywiązania dwojga ubogich ludzi.

Weszliśmy do izby, gdzie paliła się łojowa świeca w mosiężnym lichtarzu z wysuwką. Nasz dom zapadł się głębiej w ziemię, do sufitu dostawałem ręką, pokoje wydawały się ciasne, w powietrzu unosił się zapach stęchlizny. Ojciec zupełnie osiwiiał i zmizerniał, matka zgarbiła się. Odzienie na nich było wytarte.

Na widok mój matka zapłakała. Płacz jej niebawem przeszedł w szlochanie takie smutne, że opanowała mnie obawa i nieopisana tęsknota. Aż ojciec oburzył się:

— Ładnie go witasz po czteroletnim niewidzeniu! — rzekł do matki.

— To nic! to nic! — mówiła siląc się na uśmiech. Przez parę minut oczy jej były suche. Po chwili przecie tak się zaniósła od płaczu, że nie chcąc robić mi przykrości, wybiegła na dziedziniec.

Stopniowo uspokoiiliśmy się. Matka chciała mnie poczęstować kurczęciem z mizerią, alem podziękował. Wtedy ojciec poradził nam, abyśmy spać poszli.

Odprowadzili mnie do pokoiku, którego okno, okiennicą zamknięte, wychodziło na ogródek. Sufit był tak niski, że musiał głowę schylać. Pod ścianą, naprzeciw okna, stał tapczan, na którym dawniej spiałem. Przy tapczanie stolik i krzesło, oboje małe i niewygodne.

Ucałowany i pobłogosławiony, zdjąłem prędko odzienie i ległem spać. Kołdra wyciągnięta na ukos ledwie mi sięgała po szyję, a z tapczanika nogi mi wystawały. Stary nasz pies, Bryluś, zbudzony światłem wymykającym się przez szpary okiennicy, zaczął szczekać i wyć. Później ułożył się pod ścianą i cicho skomlił.

Pomimo zmęczenia sen nie przychodził. W sercu moim burzyła się dziwna mieszanina szczęścia i smutku. Coś rwało mnie do góry i przybijało do ziemi, może rażąca sprzeczność między moimi nadziejami a ubóstwem rodziców.

Skrzypnęły drzwi. Weszła matka, na palcach.

— Spisz? — spytała, całując mnie. — Spij, śpij, ja cię nie budzę... Żebyś ty wiedział, jak ja cię dawno nie widziałam!... Masz takie cieniutkie koszule... chwała Bogu!... Tylko nie wiem, czy ja to potrafię uprać?... Spij, śpij...

I odeszła szepcząc pacierz:

— Pod Twoją obronę uciekamy się... Jak on wyrósł!... święta Boża Rodzicielko...

W drugim pokoju, za ścianą, brat mój piętnastoletni, Jaś, przewracał się niespokojnie i mówił coś przez sen.

Zgasilem świecę i wkrótce straciłem świadomość.

Rano zbudził mnie ruch za oknem. Przetarłem oczy. Przez szpary i kółko wycięte w okiennicy wlewał się do pokoju dzień. Za okiennicą słychać było szeptanie trzech dziecięcych głosów.

— Ludka! nie zagląдай, bo zbudzisz! — mówił cienkim tenorem Jaś.

— A może Wicus nie śpi — odparła Ludka mająca teraz dziewięć lat.

— Jaki to Wicus?... Czy to starszy Jaś?... — pytał pięcioletni Kazio.

— Nie Jaś, tylko braciszek — poprawiła go Ludka.

— Nie braciszek, tylko brat! — odezwał się Jaś i dodał: — Braciszek to taki, co jeszcze leży w kołysce.

Odeszli parę kroków dalej. Wkrekajitce usłyszałem hałas stołka ciągniętego po ziemi i głos Ludki:

— Cicho! cicho!... Ja zobaczę, czy śpi. A jeżeli obudził się, to mu przyniosę wodę i ręcznik.

— Nie ty, tylko ja! — odezwał się Jaś.

— Nieprawda, bo ja!... Ty pójdziesz w pole i dasz znać tatkowi, że Wicus wstał... Kaziu! nie baw się piaskiem, bo powalasz sukienkę i w niedzielę nie pójdziesz do kościoła.

Dźwigany stołek uderzył o ścianę... Nagle zniknęło światło wchodzące przez szpary, a w kółku okiennicy ukazały się dwie rączki przeświecające i — ciemne oko Ludki.

— Widzisz? — pytał Janek.

— Widzę! — odparła.

— Śpi?...

— Nie wiem, ale na stoliku leży czapka z daszkiem i z niebieskim lampasem — szepnęła Ludka.

Potem zeskoczyła ze stołka i wkrótce odeszli wszystko troje.

— Czy Wicus jest taki duży jak tatko? — zapytał Kazio przed odejściem.

— Wicus jest mądrzejszy od Jasia! — odpowiedziała mu Ludka.

Dla tych dzieci przyjazd mój był ważnym wypadkiem. Teraz dopiero przypomniałem sobie, że w Kijowie nie pomyślałem o nich i nie przywiozłem im najmniejszego podarunku, ja, bogacz, ukochany brat!

Gdym się nieco ogarnął i wyszedłem na podwórko, Jaś i Ludka z krzykiem przybiegli do mnie i zaczęli całować po rękach. Witając się z nimi, uczułem, że coś chwyta mnie z tyłu za nogi. Był to Kazio.

Potem Jaś pokazał mi cenzurę, rzeczywiście dobrą, którą na mój przyjazd od kilku dni trzymał w kieszeni, a Ludka wyniosła z pokoju swoje kajeta i była gotowa zdawać egzamin na dziedzińcu, obok studni z żurawiem. Kazio zaś, nie chcąc, aby go zaćmiły zasługi starszych, potoczył się na krótkich nóżkach do ogrodu i — przyniósł mi zieloną żabę!

Odtąd po całych dniach wszyscy troje chodzili za mną, strofując się wzajemnie za natrętność. Ich przywiązanie do mnie było pełne podziwu, ślepej wiary i nieograniczonego poświęcenia. Zdaje się, że na mój rozkaz dwoje starszych skoczyłoby w ogień, a Kazio poszedłby za nimi — dla to

warzystwa. Było to ubóstwienie.

Po obiedzie Ludka znikła na parę godzin. Gdy przed wieczorem wszedłem do mego pokoju, znalazłem nad tapczanem wianek, a na stoliku dwa bukiety z polnych kwiatów, osadzone w małych garnuszkach. Od tej pory siostra co dzień ozdabiała mi pokój kwiatami.

Po zachodzie słońca ruch gospodarski zmniejszył się. Siedliśmy z rodzicami na kłodzie przed domem i zaczęliśmy rozmowę o sobie.

Nie pytałem ich o nic. Kilka godzin wystarczyło do przekonania się, że nad rodziną naszą ciąży ubóstwo. Budowle pochyliły się; w dachach i ścianach były dziury. W spichrzu i spiżarni — pustka. Krowy i konie zmizerniały, a na odzieniu rodziców znać było ślady naprawek. Zwiększone wydatki i parę lat nieurodzaju podkopało skromny dobrobyt.

Kiedym ubolewał nad takim położeniem i sobie przypisywałem winę, ojciec odparł ze szczerym śmiechem:

— Facecjo! Zetrze bieda zęby, nim staruchom dokuczy. Nie trzeba nam innego szczęścia nad powodzenie dzieci. Nie jesteśmy chyba nic warci, kiedy pod naszym okiem wyrasta młodzież zdrowa i chętna do nauki. Już ty i Jaś będziecie czymś lepszym między ludźmi aniżeli ja albo mój ojciec. W waszych osobach rodzina wzmogła się. To dosyć!

Ojciec był człowiekiem, który przez całe życie więcej dbał o szczęście innych aniżeli o przyjemności własne. Potrzeby miał małe, siły ogromne, więc znaczną część ich poświęcał na ofiarę. Był to hojny bogacz — w odzieniu biedaka.

Teraz opowiedziałem rodzicom historię czterech upły-nionych lat. Gdym opisywał mój niedostatek, matka ocierała łzy, a ojciec kiwał głową. Gdym mówił o powodzeniu późniejszym, matka składała ręce na znak radości, ojciec ze zdziwieniem słuchał. Kiedy nareszcie przyszła kolej na propozycje szlachcica i na to, że za kilka lat mogę mieć piętnaście tysięcy rubli rocznego dochodu — oboje rodzice spojrzeli po sobie. Matka była jakby zalękniona, a ojciec pochmurny.

— Nie strach tobie, Wicusiu, zostać wielkim panem? — spytała nagle matka żegnając się.

— .Phy! — mruknął ojciec — Napoleon był większym panem, a także powstał z niczego. Szlachcic może być i królem.

Uważałem jednak, że moje świetne widoki obudziły więcej niepokoju i zdziwienia aniżeli uciechy.

W najbliższą niedzielę przypadał odpust. Do kościoła było kilka wiorst. Jeden nasz koń zakulał, więc my, starsi, poszliśmy na nabożeństwo piechotą, a Kazia i Ludkę oddaliśmy na wóz sąsiadowi.

W kościele stanęliśmy przy drzwiach, zwyczajnie jak biedacy. Kapota mego ojca i chustka matki nie dawały nam prawa do ławek przed ołtarzem.

Wszelako mój mundur z szafirowym kołnierzem i złożonymi guzikami zrobił wrażenie. Ubodzy sąsiedzi usuwali się z miejsc, bogaci ściskali ojca za rękę, kobiety nie spuszczały ze mnie oczu.

Nabożeństwo trwało kilka godzin, po czym wróciliśmy do domu, a z nami mniejsze dzieci, bo sąsiad, który je tu przywiózł, pojechał w inną stronę

Nie uszliśmy stu kroków za wieś, gdy Kazio zaczął płakać ze zmęczenia i głodu. Ludka także ociągała się i pobladła.

Tedy ojciec wziął na ręce Kazia, a ja Ludkę, pomimo jej oporu i zapewnień, że dojdzie sama.. W połowie drogi dziewczynka oparła głowę na moim ramieniu i twardo zasnęła. Słońce piekło, droga była nierówna, Ludka dość ciężka. Pomimo *to* nie oddałbym jej nikomu. Mała ofiara, jaką dziś po raz pierwszy zrobiłem dla niej, sprawiła mi duże zadowolenie. Byłem szczęśliwy czując, że jestem użyteczny.

Zdaje mi się, że w czasie powrotu z kościoła uczułem silniejsze niż dawniej przywiązanie do

Ludki. Wtedy przemknęła mi myśl, że tym mocniej będę kochał moje rodzeństwo, im więcej oddam mu usług.

Wieczorem poszedłem wcześniej do swego pokoiku i leżąc na tapczanie czytałem książkę. Za ścianą, stojącą w głowach, była sypialnia rodziców. Około jedynastej usłyszałem tam ciekawą rozmowę.

— Wiesz, Kaziu! — odezwała się matka. — Mnie się zdaje, że Wicus nie mówi już pacierza klęczący...

— Ja żadnego nie mówiłem, kiedym był w wojsku — odparł ojciec.

Długie milczenie. Na pobliskim gościńcu słychać było turkot przejeżdżającej bryczki.

— A co myślisz, Kaziu, o tych fabrykach i nadziejach Wucusia? — mówiła matka. — Mnie czegoś strach ogarnia. Wicusowi, kiedy rozповідаł o tym, aż oczy świeciły z radości. Widać on nieborak pragnąłby mieć dużo pieniędzy, a nie wie o tym, jak trudno wejść bogaczowi do Królestwa Niebieskiego...

— Kto zgadnie, co z tego jeszcze będzie?... — odparł ojciec. — Ciesz się, zwyczajnie jak młody.

— Ale my powinniśmy go reflektować — rzekła matka.

— At!... — mruknął ojciec. — Tyle jego szczęścia, ile sobie rachuje na dzień jutrzejszy. Co my go mamy dręczyć perswazjami, kiedy to robi świat prędzej czy później. Każdy młody myśli, że będzie Bóg wie czym. Ja przysiągłbym, że zostanę chorążym, a nie zostałem nawet podoficerem. Jakub Dąbrowski mówił, że będzie generałem, a Wąsowicz chwalił się, że awansuje na króla, jak zabraknie kandydatów... Starsi młodym nie wytłomaczają nic. Dopiero świat ich przekonywa!

Knot świecy pokrył się grzybem wielkości orzecha. Zdmuchnąłem światło.

Więc z mojej sławy, dochodów i stanowiska ma być to, co z jeneralstwa Dąbrowskiego i korony Wąsowicza?...

Nie. Zbyt wiele czuję w sobie sił, abym nie złamał przeszkód, jakie mi świat postawi!

Swoją drogą podsłuchana mimo woli rozmowa utkwiała mi w sercu jak gwóźdź. Odtąd za słońcem mojej wiary w siebie niby cień włóczyła się wątpliwość, oparta na gorzkim doświadczeniu człowieka, co znał marzycieli i sam kiedyś marzył.

Wakacje prędko przeleciały. Czytałem książki, uczyłem Jasia i Ludkę, niekiedy doglądałem robót w polu. W obojgu dzieciach spostrzegłem niezwykle zdolności, z cechami wprost przeciwnymi.

W Ludce przeważał nastrój poetyczny — w Janku pociąg do matematyki i ścisłych badań. Wspólnymi własnościami obojga była silna wyobraźnia i wielkie współczucie.

Trudno opowiedzieć, w jaki sposób oddziaływał na te dzieci krzyk cierpienia albo czyjeś łyzy. Ta ich wrażliwość była fatalnym piętnem.

Z pieniędzy przywiezionych ze sobą posprawałem rodzeństwu odzież i książki. Jankowi dałem na wpis i chciałem kilkadziesiąt rubli zostawić ojcu. Kiedym wspomniał o tym, twarz jego oblała się krwią. Pierwszy raz spojrział na mnie z wyrazem dumy. Umilkłem zawstydzony, ucałowałem go w rękę, a pieniądze oddałem Jasiowi na opłacenie stancji.

— Mnie nie potrzeba — wymawiał się hardy chłopiec — ja idę do szóstej klasy i będę dawał korepetycje.

— A dużo ci płacą? — spytałem.

— Oho!... Z dziesięć złotych na miesiąc.

I znowu bryka żydowska zawiozła mnie do Kijowa, bo ekstrapocztą wstyd mi było wracać.

Pobył w domu przywrócił mi do pewnego stopnia równowagę moralną. Osłabił pychę, wzmocnił przywiązanie do rodziców i zaszczepił miłość dla rodzeństwa. Jeżeli mnie z niskiego stanowiska

wydzwignęła praca i zdolności, to Jaś nie mniej pracował ode mnie, a zdolności miał większe. Jeżeli ja chlubiłem się szlachetnością uczuć, to Ludka była przy mnie aniołem. Jaka zaś przepaść istniała między ich uwielbieniem dla mnie, a moim początkowym chłodem dla nich!

Świetna przyszłość zbliżała się ku mnie ogromnymi krokami. Po Nowym Roku otrzymałem złoty medal za rozprawę o związkach węgla. Profesor chemii coraz natarczywiej nalegał, abym poświęcił się badaniom teoretycznym. Rektor zapewniał, że otrzymam stypendium na studia za granicą, a później — katedrę na uniwersytecie.

Mój szlachcic zgodził do synów innego nauczyciela, prosząc mnie, abym nadal mieszkał w jego domu, lecz wyłącznie zajął się własną nauką.

Postanowiono, że zaraz na początku wakacji udam się w podróż, a rozprawę kandydacką napiszę za granicą. Plenipotent majątku szlachcica, jego rządcy i dyrektorowie fabryk składali mi wizyty, obsypywali pochlebstwami i prosili o łaskawą pamięć dla swoich kuzynów.

Uniżoność tych ludzi robiła na mnie wielkie wrażenie. Odurzało mnie poczucie władzy, choć jeszcze nie miałem jej w rękach.

Skończywszy egzamin, stosownie do umowy opuściłem Kijów. Na odjeźdźnym szlachcic wręczył mi tysiąc rubli, dodając, że za pół roku otrzymam nową sumę.

Za miastem pocztowa trójka ruszyła w cwał. Owiało mnie powietrze wiejskie, serce uderzyło prędeż, myśli zmieniały się z niezwykłą szybkością. Jak na dłoni widziałem moje ubogie dzieciństwo, pracę rodziców, dumę sąsiadów. Odżyła w pamięci nędza pierwszych lat pobytu w uniwersytecie i owe ciągle niepokoję: czym też ja będę?... czy dojdę do czego?...

A dziś — jakże prędko czas przeleciał i jakie przyniósł mi niespodzianki!... Władza, niemarzone dochody, podźwi-gnięcie rodziny, możność zajmowania się nauką, stosunki z najświetlejszymi ludźmi. Poza tym wszystkim gdzieś w dali — piękna kobieta w bogatych salonach i — miłość!... O życie!... życie ludzkie — jakim ty jesteś skarbem... I co mi po nieśmiertelności duszy, jeżeli istnienie doczesne .zejdzie mi w podobnym szczęściu?...

Kiedym się znużył i zdrzemnął wśród nocy, na dygoczącym w biegu tarantasie zdawało mi się, że terazniejszość moja to sen.

— "Jak to — mówiłem — więc ja, syn zagrodowego szlachcica, ja, który spędziłem młodość w zgrzebnej koszuli, mam być wielkim panem, uczonym, rozkazodawcą?... To chyba przywidzenie!..."

Tarantas podskoczył, ja zbudziłem się i dotknąłem ręką piersi. Nie — to rzeczywistość! Tu leżą banknoty, a tu — półimperiały w trzosie... Ja istotnie skończyłem uniwersytet z odznaczeniem. Ja naprawdę mam pieniądze, jadę po to, aby nasycić się zdobyczami cywilizacji zachodniej i wrócić na wysokie stanowisko.

Pomyślałem, że mi skrzydła wyrosły i że się wzbił nad innych ludzi. Iluż to świat liczy — podobnych, mi? Ilu jest takich, którzy z nicości doszli tam, gdzie ja będę?...

Poznałem słodycze zwycięstwa i rozkosz pychy. Możliwość przyznania sobie wartości i zasług jest największym szczęściem na ziemi. W upojeniu myślałem, że na gniazdo drobnych przepiórek upadł z nieba promień geniuszu i stworzył — sokoła. Tym sokołem ja jestem!...

Jeszcze w Kijowie będąc umyśliłem wstąpić na pożegnanie do domu. Odgadywałem, że zastanę biedę. Miałem jednak zamiar powiedzieć rodzicom:

— Ufajcie w moją gwiazdę!... Za parę lat doczekacie wielkich zmian.- Będziecie opływać w dostatku, o jakim nie słyszano w tej okolicy. Tymczasem zaciągajcie długi, sprzedajcie grunt, byle ten krótki czas przetrwać. Przyszłość wynagrodzi wszystko!

Na granicy Królestwa zatrzymałem się w jakiejś karczmie. Byłem głodny, więc wszedłszy do

pierwszej izby, zapytałem, co mogę dostać do jedzenia.

— Nic! — odparła służąca.

— Jak to nic? — spytałem, oburzony. — A gdzie gospodarz?

— Nie ma. Wczoraj oboje zmarli. Chociaż obcy tym ludziom — struchlałem.

— Na co umarli?...

— Na cholereę...

— U was jest cholera?... Od kiedy?...

— Już będzie ze dwa tygodnie.... Wsiadłem na bryczkę, czując, że nogi moje są zimne i ciężkie jak kamień. W owej epoce straszny to był wyraz: cholera!...

Do domu miałem jeszcze kilkanaście mil. Podwoiłem pocztylionowi napiwne i kazałem fechać co koń wyskoczy. Na każdej stacji szeptano o cholere. Niektórzy pocztmaj-strowie nie chcieli ze mną rozmawiać, inni prosili, abym pieniądze, należne za ekstrapocztę, kładł na stole.

Bano się mnie, a ja bałem się nieszczęśliwego kraju. Zdawało mi się, że ze słonecznych okolic wpadł do trupiarni. Kiedym patrzył na ludzi, widziałem trwogę, a gdym wszedł w samego siebie, czułem ukąszenia smutku.

Z rana dojeżdżałem do domu. W drugiej wsi od nas zobaczyłem chatę zabita deskami; we wsi sąsiedniej spotkałem pogrzeb. Strach padł mi na nerwy.

Dla oprzytomnienia się zapytałem o coś pocztyliona. Gdy odwrócił głowę, zobaczyłem, że ma usta sine — także z bojaźni.

Do domu mieliśmy pół mili. Bryczka wjechała w las znany mi od dawna. (Poszukawszy, może bym znalazł ślady wydeptane w dzieciństwie.) Słońce stało niewysoko, rzucając na gościniec długie cienie drzew. Na trawie, na paproci, na listkach krzaków, zielonych igłach sosen błyszczały krople rosy. Czerwone wiewiórki ciekawie przypatrywały się nam z gałęzi. Turkot bryczki, śpiew szczygłów, makolągów i kucie dzięciołów napełniało las radosnym hałasem. Aż pocztylion weselej huknął na konie, a i w moim duchu błysnęła nadzieja.

Wyjechaliśmy znowu w pole. Już widać naszą wieś. Na ugorze pasą się, krowy, a dwaj pastusi, odziani w worki, wyprawiają gonitwy.

Odzyskałem dobrą myśl. Widać, że tego kąta za lasem I nie dosięgnęła klęska. Wszystko jest, jak było. Na łące kosiarze koszą trawę. Nad chatami i dworkami niebieski, dym bije w górę jak strzała. Zamiast trumny; spotykam wóz znajomego chłopca, który, zdjawszy czapkę, wita mnie słowami: "Niech będzie pochwalony!"

Parę bezsennych nocy, trwoga powszechna rozstroiły mnie. Szczęściem widok spokoju rodzinnej wsi przywrócił mi panowanie nad sobą. Widziadła pierzchły, a ja znowu odzyskałem wiarę w moją gwiazdę.

"O, gdybym już wracał z zagranicy! — pomyślałem. — Ale i to przyjdzie. Przed pięcioma laty jechałem dopiero do , uniwersytetu. Zdawało mi się, że go nigdy nie skończę, jednak czas przeleciał jak błyskawica..."

Do domu było ledwie paręset kroków. Nigdy nie wydawał mi się piękniejszy. Strzechę porastał aksamitny mech, ściany były świeżo pobielone, okna pootwierane, w kuchni na kominie palił się ogień. Obok stodółki parobek, siedząc okrakiem na belu, obciosywał tyczki. Około studni kręciły się niespokojnie wieprzki. Na śmietniku za lodownią grzebało parę kur, na płocie kogut zatrzepotał skrzydłami i zapiał, jakby na powitanie.

Odpowiedziała mu trąbka pocztyliona fałszywie, ale wesoło.

W oknach pokazało się parę głów...

Zatrzymaliśmy się przed wrotami, po których już tylko dwa słupy zostały.

Zeskoczyłem z bryczki. W tej chwili z domu wybiegł na przeciw mnie Jaś, a za nim Ludka — nieuczesała.

Chłopiec rzucił mi się na szyję. Chciał coś przemówić, ale zatchnął się i patrzył na mnie z otwartymi ustami. Ludka całowała mnie po rękach, płacząc.

Chciałem odsunąć brata i wejść do domu. Ale Jaś oplątał się koło mnie tak, że kroku ruszyć nie mogłem.

— Jak się macie! — rzekłem wesoło. Nie odpowiedzieli nic.

— Cóż tu słyszeć?...

— Tatko chory... — wyjąkał, Jaś.

— Chory?... Co mu jest?... — pytałem starając się uwolnić z uścisków chłopca, które wydały mi się jakieś nienaturalne.

— Co jest ojcu?... gdzie matka?...

— Mama... umarła!...

Odepchnąłem dzieci i przewróciłem Kazia, który wyszedł naprzeciw mnie z kuchni.

Wbiegłem do pokoju ojca.

Ojciec leżał na łóżku nieprzytomny. Mruczał coś i miał kołdrę wychudłymi palcami.

Przy łóżku siedział Żyd felczer.

Od progu nie mogłem kroku ruszyć. Oparłem się o futrynę i patrzyłem, słuchałem — nie myśląc. Gdy dziś przypominam sobie te rzeczy, dziwię się, że nie oszalałem.

Zapadłą twarz ojca porosła broda biała jak mleko. Pod rozdartą koszulą widać było skórę szarą, upstrzoną sinymi plamkami. Pierś wznosiła mu się i opadała prędko. Oczy miał szklane, zwrócone do sufitu. Charczał i ściągał kołdrę, odsłaniając nogi wychudłe jak u trupa.

Gdy felczer poprawiał kołdrę, ojciec schwycił go za rękę i mówił głucho, z naciskiem:

— Nie opuszczaj ich!... Pamiętaj... Do łóżka zbliżył się Jaś i rzekł:

— Tatku!... Wicuś przyjechał... Ojciec i jego ujął za rękę, mruczając:

— Nie opuszczaj ich!... Pamiętaj...

Potem zaczął ruszać ustami jak człowiek, którego dręczy pragnienie. Felczer podał szklanekę z jakimś wywarem. Ojciec chwycił szklanekę, lecz zamiast pić ścisnął ją obu rękoma i mówił:

— Nie opuszczaj ich!... Pamiętaj...

Zrozumiałem, do kogo on mówił i kogo nie kazał opuszczać. Odwróciłem się i wybiegłem do kuchni. Żal szarpał mi serce, w gardle czułem takie dławienie, że myślałem, że umieram. Upadłem na ławkę i zacząłem płakać w głos. Otoczyły mnie dzieci i służące i wszyscy szlochali ze mną.

Wtedy przyszedł felczer, wziął mnie pod ramię, zaprowadził do pokoiku Jasia i ułożył na jego pościeli. Płakałem wciąż i we łzach usnąłem jak dziecko.

Zmęczenie w podróży uratowało mnie. Spałem z godzinę. Tymczasem pocztylion popasł konie i z odkrytą głową czekał pod oknem na obiecany tryngield. Wyrzuciłem mu parę złotych. Felczer usłyszał ruch w moim pokoju, zostawił ojca pod opieką Jasia, a sam przyszedł do mnie z opowieścią o naszych nieszczęściach.

Mimo pozornego spokoju, jaki zauważyłem wjeżdżając do wsi, cholera była tu. Przed dziesięcioma dniami zapadli na nią oboje rodzice. Matka zmarła tydzień temu, ojciec wyszedł z cholery, ale dostał zwykle następującego po niej tyfusu. O wypadkach tych jeden z sąsiadów napisał do mnie list do Kijowa, ale się z nim w drodze minął. Kiedy zapytałem felczera, jaki jest stan, pokręcił głową, mówiąc — że nic nie wie. Nająłem konie i wysłałem je do miasta po doktora. Jakoż doktor przyjechał na drugi dzień rano, a mój ojciec tej samej nocy umarł nie odzyskawszy ani na chwilę przytomności.

Pamiętam, że włożyli go natychmiast w trumnę i przed południem wywieźli na cmentarz. W tej chwili jeszcze widzę w kącie pod parkanem dół, do którego Ludka chciała się rzucić. Jaś odciągnął siostrę, a dół zasypano wapnem i ziemią. Chowano tu zmarłych na cholere.

Przed ośmioma laty byłem w tamtych stronach. Z naszego domu i budynków nie zostało nawet drzazgi. Studnia zasypana, ogródek wycięty, dziedziniec, po którym niegdyś biegałem bosy, zasiano burakami.

Na wzgórzu, gdzie stała sosna, gdzie widziałem ojca z pługiem, dziś — wznosi się fabryka.

Za to pod parkanem, w kącie naszego cmentarza, urósł pagórek. Stoi tam krzyż spróchniały i pochylony, z napisem:

Wieczny odpoczynek

Zmarłym na cholere w r. 185...

Drzewo na niego wzięto z lasu, w którym dzieckiem będąc zbierałem jagody.

Na klęczkach dowlokłem się do świętego wzgórza i stary, objąłem rękami starsze ode mnie drzewo — przyjaciela. Do szorstkiego mchu przycisnąłem czoło i modliłem się — o trochę łez...

Po pogrzebie ojca zachorowałem.

Kiedy pociąg drogi żelaznej wyjdzie z szyn, jego olbrzymia siła biegu cofa się do wewnątrz. Pękają osie, gną sztaby, łamią ściany, ludzie są miażdżeni, tu i ówdzie zapala się płomień. Machiny, które chwilę temu były przedmiotem podziwu, stają się ruiną.

Lata całe zeszyły mi na wznoszeniu się i prześciganiu innych. I w chwili kiedy miałem przebyć najpiękniejszą część toru, kiedym wyteżył siły, a los przypiął mi jakby skrzydła, wówczas — na mojej drodze stanęły dwa groby i trzy sieroty.

Miałem do wyboru albo — rozbić się, albo — stratować zaklęcia ojca, pamięć matki, przyszłość rodzeństwa i własne serce.

Rozbiłem się.

Wpadłem w gorączkę. Przez kilka dni nie jadłem, nie spałem, nawet nie rozbierałem się i nie wychodziłem z pokoju. Rozsądek opuścił mnie, ustępując miejsca — ekstazie w jakiej Dante zwiedzał trzy zaświatowe królestwa. Zdawało się, że duch mój rozszerzył się jak widnokrąg i że w tej niezmierności toczyły walkę wszystkie instynkta ludzkie. Miłość, pycha, egoizm, obowiązek, nałogi, wspomnienia, żal, wiadomości naukowe, wszystko to mieszało się, popychało, żarło, przybierając symboliczne kształty i sprawiając mi niewymowną boleść.

Marzyło mi się, że ze świata drobnej szlachty, chłopów, wyrobników, kobiet z grubymi rękoma i obdartych dzieci wyrosła góra, której szczyt ginął w obłokach.

Biedacy drżeli z zimna, wydrapywali rękoma chleb z ziemi, zabijali się o każdy kęs. Sen ich był krótki i twardy, czuwanie wypełnione pracą. Modlili się do słońca i padali na twarz przed piorunem: Wielogłowa natura patrzyła na nich jednym tylko obliczem, które było groźne i martwe.

W tej ciżbie siedziałem ja i cała moja rodzina. Zatopieni w ubóstwie, kiedy niekiedy słyszeliśmy odgłosy radości płynące ze szczytu góry. Ktoś mi powiedział, że tam jest Olimp i mieszkają bogowie.

Nagle siła jakaś porwała nas i rzuciła do stóp góry, wypychając mnie naprzód. A kiedym zrobił pierwszy krok, ojciec kazał mi zrobić drugi, ja zaś zrobiłem jeszcze dwa kroki i — już chciałem iść coraz wyżej. Więc gdy mi mocy zabrakło, rodzice poczęli sprzedawać odzienie swoje i dzieci, swoją pracę, przyszłość młodszego rodzeństwa i własny spokój na starość.

Dzięki ofiarom dostałem się między obłoki, na szczyt, obiecując tym, co na dole zostali, że im podam rękę i wciągnę za sobą. W zamian za słowa obietnicy oni dawali mi krew i pot, które tam, wysoko, ceniły się jak purpura i klejnoty.

Wszedłem do bogów ziemskich. Mieszkałem w ich pokojach, z których każdy był większy od naszej chaty. Piłem nektar i jadłem ambrosję, której kęs nabywał się za cenę stu bułek chleba. Kwiaty, które na dole miały tylko łądygi i ciernie, tu — na górze, składały w dani swoje, barwy i zapachy.

Stąd widzieliśmy cały świat. Stąd słońce wyglądało jak płomień życiodawczy, gwiazdy jak słońca, a planety — jak mieszkania istot posiadających potrzeby, ruch i czucie. Tu zdejmowaliśmy pioruny z nieba i za ich pomocą nad głowami szarego tłumu przesyłaliśmy wiadomości. Siła ognia zastępowała nam miliony rąk, a kombinacja kół i sprężyn — zręczność i czujność ludzką.

Z naszego szczytu widzieliśmy świtanie cywilizacji i zgadywaliśmy, o czym myślały ludy dawno zmarłe.

Gdy zmęczyła nas mądrość, zwracaliśmy się do rozkoszy. Piliśmy natchnienie z oczu najpiękniejszych kobiet, całowaliśmy ich usta. A jeżeli nam sił zabrakło, odwróciwszy się od natury, przypatrywaliśmy się utworom cudownej fantazji geniuszów.

Było mi dobrze z bogami, a im ze mną. Niektórzy chcieli mnie obdarować swoją władzą i szczęśliwym dziedzictwem. Lecz w chwili, kiedy miały pęknąć więzy łączące mnie ze światem wyrobników, usłyszałem głos z dołu:

— Nie opuszczaj ich!... Pamiętaj!...

To mówił ojciec zapadający się w grób. Ci, o których miałem pamiętać, patrzyli na mnie smutnymi oczyma, obdarci, zgłodniaли, rzuceni na pastwę sieroctwa.

Wybiła ciężka godzina. Zobowiązano mnie, abym rzucił kraj nadziemski i zszedł na padół nędzy. Kazano wyrzec się szczęścia, wiedzy, stanowiska, oblec siermięgę robotnika, zmieszać się z półdzikim tłumem i — wydrapywać chleb z ziemi, nie tylko dla siebie, ale dla trojga innych.

Zeszedłem, bo głos ojca rozlegał się tak mocno, że stłumił wszystkie inne dźwięki. Ta sama zresztą siła wewnętrzna, która parła mnie coraz wyżej, nie pozwalała wyzyskiwać ani krzywdy rodzeństwa, ani łaski dobroczyńców.

Kiedym po kilku dniach wyszedł do dzieci, przekonałem się, że Jaś w gospodarstwie zastępował ojca, a Ludka — matkę. Oni doglądali robót, dysponowali obiady i czuwali nade mną.

Drobny ten fakt orzeźwił mnie. Wstyd mi było nurzać się w bezsilnej rozpacz wóczas, gdy dzieci — pracowały!...

Przy pomocy sąsiadów rozejrzałem się w interesach. W ciągu pięciu lat ojciec zaciągnął tyle długów, że zagroda z tytułu ledwie była naszą własnością. Po sprzedaniu jej mogliśmy ocalić co najwyżej kilkadziesiąt rubli.

W czasie tych zatrudnień przyjechał do mnie pewien kolega uniwersytecki, skończony lekarz. Opuścił on Kijów w parę dni po mnie i odebrał list pisany z domu, a korzystając z mojego upoważnienia odpieczętował. Z niego dowiedział się o chorobie ojca i śmierci matki. Domyślił się, że może to oddziaływać na mój los, i nie mówiąc nikomu, wpadł do mnie.

W uniwersytecie zwali go „narwanym”. Był to najszlachetniejszy człowiek, jakiego znałem. Opowiedziałem mu nasze nieszczęścia, kończąc tym, że już nie pojedę za granicę, ale zostanę z dziećmi.

"Narwany" skoczył z krzesła.

— Tyś wariat! — krzyknął biegnąc po izdebce. — Tego się właśnie obawiałem!...

I zaczął targać włosy.

— Cóż więc mam robić? — zapytałem go.

— Jechać natychmiast za granicę! — odparł. — Wiedz, że ledwie siadłeś w Kijowie na kibitkę, już te łajdaki, twoi przyjaciele, zaczęli ci szyc buty, a co gorsze, stręczyć kandydata na twoje

miejsce! Mówili szlachcicowi, żeś wielki pan, że zanadto przywykłeś do towarzystw, żeś genialny teoretyk, ale nie masz za grosz praktycznego zmysłu... Jeżeli zawahasz się teraz — dokończył kolega — to lepiej powieś się! Ja sam kupię ci powrót.

Wiadomość o intrygach umocniła mnie tylko w powzię-tym zamiarze. Ale "narwany" pienieł się z gniewu.

— Nie wariuj! — krzyczał. — Zaraz jutro siadaj ze mną i jedź do Warszawy...

— A z dziećmi co zrobię?...

— Zostawisz im trochę pieniędzy i oddasz pod opiekę. Trzy lata niewielki czas.

— Niezawodnie! — odparłem. — Wystarczy do ogłupienia ich.

Nagle kolega uderzył się w czoło.

— Wiesz co? — rzekł — mam myśl!... Oddaj mi twoje dzieci.

Ucałowałem go serdecznie. Szlachetność tego człowieka goiła rany mojej duszy.

— Posłuchaj mnie — odparłem. — Twoje słowa są potwierdzeniem mego planu. Jeżeli ty, człowiek obcy, chcesz przygarnąć moją rodzinę, to jakież ja byłbym podły, gdybym ich porzucił?... Zresztą pomyśl, czy wydołałbyś obowiązkom? Czy ty, ubogi, świeżo upieczony doktor, miałbyś czas pilnować ich, karmić, uczyć? A gdybyś nawet wypełnił wszystko, to czy zastąpisz im brata, którego kochają?

Nie odpowiedział mi wprost, ale zawołał:

— Człowieku, zastanów się... Tam jest kariera!... — Albo hańba! — odrzekłem.

Kolega posiedział u mnie jeszcze jeden dzień, zasypując prośbami i namowami. Wreszcie, na ostatni argument, kazał zajechać bryczce i zawołał:

— Daję ci kwadrans czasu do namysłu. Zostaw mi dzieci i trochę pieniędzy, a sam siadaj i jedź...

— Nie.

— A więc zmarnujesz się, ośle! — wrzasnął i plunął mi pod nogi.

W tej samej chwili rzucił mi się na szyję, oparł głowę na ramieniu jak niegdyś matka i — zapłakał.

Odtąd nie spotkaliśmy się. Tylko w siedem lat później widziałem jego zwłoki poszarpane kulami. Po odjeździe zacnego przyjaciela przystąpiłem do regulacji interesów.

Zagroda nasza została sprzedana. Jeden z sąsiadów udzielił mi na parę lat bezprocentową pożyczkę, przy pomocy której przenieśliśmy się z dziećmi do Warszawy.

Do mego dobroczyńcy, do Kijowa, napisałem list opowiadając mu o wszystkim, co zaszło. Dziękowałem za wyświadczone łaski i zwróciłem tysiąc rubli, dane mi na wyjazd za granicę.

Szlachcic uznał powody mego wycofania się i robił mi wymówki za zwrot pieniędzy, które, wedle jego słów, powinienem był zatrzymać. Swoją drogą wysłał za granicę innego. Był to także mój kolega uniwersytecki, odznaczający się wielkim sprytem. Zająwszy opuszczone stanowisko wnet doszedł do majątku i sławy. Gdy zaś przejeżdżał teraz przez miasteczko, w którym dogorywam, zamiast wstąpić do mojej klasztornej celi, opowiadał ludziom, że miałem kiedyś wielkie zdolności i — że się zmarnowałem!

Jednocześnie podałem prośbę o ofiarowanie mi posady nauczyciela w Warszawie. Napisałem także do rektora uniwersytetu, prosząc go o poparcie. Dzięki tym zabiegom i pomocom uzyskałem od wakacji miejsce przy szkołach publicznych i jak na owe czasy, wcale dobrą pensją. A ponieważ zajmowałem się i lekcjami prywatnymi, więc nowe położenie moje było znośne. Miałem fundusze na wychowanie dzieci i na spłacenie zaciągniętego długu. Robiłem nawet oszczędności.

W rok później jedenastoletnia Ludka wstąpiła na pensję, siedmioletni Kazio uczył się w domu, a siedemnastoletni Jaś ukończył gimnazjum. Ponieważ okazywał ochotę i zdolności do mechaniki,

wysłałem go do szkoły technicznej, za granicę. Bawił tam cztery lata. Wykształcił się i rozwinął. Jeżeli nie zaślepią mnie przywiązanie, to Janek mógł zostać najzdolniejszym mechanikiem u nas. Jego rozprawy, umieszczone w fachowych pismach francuskich i niemieckich, zdradzały naukę i praktyczność w pomysłach. Ofiarowywano mu posady w fabrykach zagranicznych; on jednak wolał wrócić do ubogiego kraju, dla niego pracować i za swoich głowę położyć.

Od chwili objęcia posady przez pięć albo sześć lat byłem o tyle szczęśliwy, o ile może nim być nauczyciel. Byt miałem zapewniony. Przystawałem z ludźmi niebogatymi wprawdzie, ale — światłymi. Rodzeństwo moje chowało się zdrowo i między innymi dziećmi (o ile mogłem zauważyć) odznaczało się przymiotami umysłu i serca.

Kiedym patrzył na ich ubiór przyzwoity, rodzaj zabaw, towarzystwo, na miłość i szacunek, jakimi ich otaczano, i — kiedym przypomniiał sobie własne dzieciństwo, czułem zadowolenie. Im było pewniej i — weselej na świecie aniżeli mnie przed laty. Pieniądze, dane mi przez ojca, przyniosły procent.

Ale i ta epoka mego życia nie była wolna od goryczy. Nie miałem pola do zużytkowania większej części zdobytej wiedzy naukowej. Nie miałem czasu na dalsze kształcenie samego siebie, i przeglądając specjalne czasopisma, widziałem, że z każdym miesiącem nauki przyrodnicze, osobiście chemia, idą naprzód, a ja zostaję w tyle. Było to nad wszelki wyraz smutne. Straciwszy możliwość zdobycia sławy i majątku, czułem, że dziś — nawet sława ucieka mi z rąk!

Pocieszałem się jednak myślą, że za jakie dziesięć lat Ludka wyjdzie za mąż, Jaś stanie na mocnych nogach i rozciągnie opiekę nad Kaziem, a ja — człowiek trzydziestosześcioletni — wrócę do przerwanych studiów i... może zrobię jakie odkrycie, a przynajmniej literaturę ojczystą wzbogacę użyteczną książką.

Nadzieja ta dodawała mi sił i humoru. Więc choć w owej epoce obijało mi się niekiedy o uszy słówko: zmarnował się! — drwiłem z tego. Dziesięć lat to przecie nie wiek, a bądź co bądź nawet nieprzyjaciele oddawali mi sprawiedliwość, że posiadam duży zapas wiedzy i niezwykle zdolności.

— Coś jeszcze zrobię! — mówiłem w duchu.

Najwięcej, zmartwień sprawiał mi mój zawód i ogólny stan kraju.

Uczniów miałem zdolnych, ciekawych i pełnych życia. Nie posiadali oni jednak najmniejszej rutyny naukowej, nie byli wciągnięci do pracy, nie mieli uczyć się z czego, bo ówczesne dziełka naukowe stały niżej krytyki.

Z tych powodów młodzież odnosiła mało korzyści z nauk. A że duch w niej grał, więc robiła awantury i wyrządzała nauczycielom dużo zgryzot.

Nieraz zapytywałem z obawą, co będzie, gdy wyrosnie to bujne a płoche pokolenie. Bo siły miało potężne, tylko wiedzy i rozwagi było brak.

Przyszłość zapowiadała się ponuro. Duch społeczeństwa był jak sprężyna, którą od wielu lat zwijano. Nadeszła chwila, że dalsze zwijanie stało się niemożliwe; należało więc albo sprężynę powoli odkręcić, albo dać jej do wykonania jakąś pracę. Tymczasem do pracy nie było ani instytucji, ani głów przygotowanych, ani wyrobionych obyczajów. Nauka nie posiadała zakładów wyższych i fachowych, przemysł i rzemiosła były w pogardzie, urządzeń społecznych brakło. We wszystkich warstwach nagromadzały się siły niezajęte, uczucia niezaspokojone, umysły niedojrzałe.

Jako fizyk rozumiałem, że siły te zużyć się muszą. Ale ponieważ nie znałem sposobu owego zużycia, więc — strach mnie przejmował. W chwilach rozstroju: ogarniały mnie przeczucia jakiejś katastrofy, która pochłonąć mogła szczęście moje i rodziny.

W pięć lat po objęciu przeze mnie posady nauczycielskiej Janek wrócił z zagranicy i otrzymał miejsce naczelnego inżyniera w fabryce machin i narzędzi rolniczych. Dotychczas mieszkaliśmy w środku miasta; dla Janka przenieśliśmy się w okolice dalszą, do domu leżącego o kilkadziesiąt

kroków od zakładu. Z naszych okien widać było dziedziniec fabryki. Głos dzwonka budził nas, a szmery, łaskoty i gwizdania machin niepokoiły przez cały dzień. Później przywykliśmy do hałasu, a gdy w niedzielę wszystko ucichło, czuliśmy jakiś brak.

Na działalność brata patrzyłem z bliska; mogłem więc ocenić jego pracę i moralną wartość.

Janek służył w fabryce niecałe dwa lata. Kiedy tam wszedł, dziedziniec zawałały stare kotły, zardzewiałe żelastwa, połamane obręcze, gnijące rusztowania. Istny Pociejów. Mechanizmy wykonawcze były zużyte i niedokładne. Robotnicy źle płatni, wyglądali nędznie, obdarto i wolny czas przepędzali w szynkowniach.

Smutno było patrzeć, jak w dzień dwutygodniowych wypłat cisnął się do bram fabryki tłum szynkarzy i sklepikarzy. Na wychodzącego z kasy robotnika rzucało się kilku wierzycieli. Każdy wołał o pieniądze i nieledwie sięgał do kieszeni. Nim rzemieślnik przestąpił próg fabryki, już z dwutygodniowego zarobku nie zostało mu nic albo niewiele.

Wyroby fabryki były drogie, nietrwałe i wykonywane według przedpotopowych modeli.

Kilkanaście miesięcy pobytu Janka wystarczyło do wytworzenia gruntownych zmian w zakładzie. Oczyszczono podwórze, sprzedano maszyny stare, a na ich miejsce ustawiono nowe, nierównie silniejsze. Najgorszych robotników wydalono; innym zaczęto płacić od sztuki, co korzystnie wpłynęło na zarobki, a także na jakość produkcji.

Wprowadzając ulepszenia do przedmiotów wyrabianych w fabryce, brat zajął się jednocześnie losem robotników. Urządził im gospodę i czytelnia, zaprowadził kasę wsparć dla chorych, zachęcił kilku inteligentniejszych praktykantów, ażeby uczyli robotników czytania, pisania i rysunków. Niewielu korzystało z tych urządzeń, lecz kilkudziesięciu pilniejszych garnęli się do Janka i słuchali jego wskazówek. Z czasem wyszło im to na dobre.

Janek cały zatopił się w fabryce. Dnie przepędzał w biurze technicznym lub w warsztatach, wieczory — nad książką, święta — między robotnikami. Zdaje mi się, że w tej chwili widzę go przed sobą, tęgiego, w grubych butach i szaraczkowej kurtce. Obliczem i usposobieniem przypominał ojca. Miał twarz śniadą, białe czoło, oczy duże, śmiał się rzadko i mówił niewiele. Na pierwszy rzut oka robił wrażenie człowieka ogromnej siły i anielskiej łagodności.

W rok po przybyciu Janka w licznym towarzystwie oglądaliśmy fabrykę. Byli między nimi ludzie fachowi, którzy wielkie oddawali pochwały nowoustawionym mechanizmom wykonawczym i wyrobom fabryki. Istotnie każdy pług, brona, młynek, siewczarnia, kocioł — nosiły piętno ulepszeń. W warsztatach panował wzorowy porządek, na twarzach robotników malował się dobrobyt, wesołość i poczucie godności.

— Tu z każdej śruby wygląda rozum i ład — odezwał się pewien stary inżynier.

— Twój duch wygląda! — szepnąłem do Janka.

— Nie, to, twoje poświęcenie dla nas! — odparł ściskając mnie za rękę.

Ta chwila była najszcześniejszą w moim życiu.

Pierwszy raz (ze wstydem to wyznaję!) zrozumiałem nieśmiertelność dobrych czynów ludzkich.

Od tej chwili polubiłem fabrykę jak członka własnej rodziny. Nieraz zmęczony pracą siadałem wieczorami w oknie, patrzyłem i słuchałem. Z kominów buchały iskry, nad gisernią drgała różowa zorza, z machin wylatywały kłęby pary. A gdy wśród huku młotów, dudnienia kół i zgrzytu pilników rozległ się wesoły śpiew ludzki, myślałem:

— To echo mojej ofiary...

Może to samochwalstwo. Ja wiem przecie, że nie zrobiłem nic wielkiego. Lecz wiem i to, że w naturze nic nie przepada i że w ogromie dzieł stworzonych przez geniusz i pracę mas tlą się jak iskry — małe cnoty jednostek

W początkach naszego wspólnego gospodarstwa miewaliśmy z Jankiem sprzeczki. Ja wciąż uważałem się za głowę rodziny i z tego tytułu chciałem łożyć na utrzymanie całego domu. Ale brat nie pozwalał. Przedstawił mi, że jego praca jest łatwiejsza, dochody znaczniesze od mojej pensji i że — byłoby niesprawiedliwością, gdyby on teraz nie przyjął na siebie ciężarów rodzinnych.

— Tyś zrobił swoje — mówił mi — dając nam byt i naukę przez lat pięć. Obecnie wypada mój dyżur, a ty jesteś gościem w moim domu!...

Ten pogląd Janka robił mi przykrość., Zdawało mi się, że ja tylko mam prawo być opiekunem rodziny, że do brata należy przyszłość, a do mnie dzieci. Ale poczciwy chłopiec tak męczył mnie prośbami, że w końcu uległ. Stała się ugoda, mocą której koszta utrzymania domu mieliśmy ponosić na wspólnie.

Raz Janek podsunął mi taki projekt.

— Wiesz co, Wicusiu! Ja za rok albo dwa będę miał pięć do sześciu tysięcy rubli rocznie, Kazio przejdzie do czwartej klasy, a Ludka, która kończy pensję, zostanie już panną.doroślą. O dzieci więc możesz być zupełnie spokojny... Czy tak?..

Kiwnąłem głową, nie wiedząc, o co chodzi, a on mówił dalej:

— Otóż mam taki plan: ażebyś ty zbierał sobie pieniądze, a potem... wyjechał na kilka lat za granicę.

Nie mogłem powstrzymać wybuchu radości i rzuciłem się bratu na szyję. Zgadł on najgorętsze moje życzenia! Od tej pory znowu marzyłem o wyjeździe za granicę, o pracach naukowych i sławie. Straconego liiegdyś stanowiska nie było mi żal, bom widział, że podobne, jeżeli nie świetniejsze, zdobywa Janek. Dziwiłem się tylko niezbadanemu porządkowi, który nie zabija żadnej idei dobrej, ale w innej formie i w innym miejscu wskrzesza to, co upadło w walce z losem.

Ja chciałem być naczelnikiem zakładów fabrycznych.

I otóż te same wypadki, które mnie zepchnęły z drogi, postawiły na niej Janka!... Idea nie zginęła.

Takie było nasze szczęście, oparte na pracy, zgodzie rodzinnej i nadziejach. Nasz byt nie pozostawiał nic do życzenia. Zajmowaliśmy wygodne mieszkanie, które Jaś przyozdabiał pięknymi meblami, ja — obrazami i posążkami, a Ludka — firankami, serwetkami i kwiatami. Mieliśmy kucharkę; młodszą i służącego. Każdej niedzieli bywali u nas goście: technicy i nauczyciele z rodzinami, a co dzień ktoś łaskawy zasiadał z nami do stołu.

W ciągu dnia mieszkanie stało pustką. Ja i Kazio byliśmy w szkole, Ludka na pensji, Jaś w fabryce. Nad wieczorem ściągaliśmy wprawdzie do domu, ale że my, starsi, byliśmy znużeni lub zajęci, więc zwykle Janek krył się do swej kancelarii, a ja w biblioteczkę.

W taki sposób przepędzaliśmy wieczory, rozdzieleni pod jednym dachem, kochający się, lecz małowówni i nieskłonni do wylewu uczuć. Ale łączyła nas Ludka. Ona — odrobiwszy lekcje — obiegała całe mieszkanie: Jankowi rozrzucała cyrkle i rysunki, mnie mówiła, że ją nudy trapią, i uciekała do salonu, a my za nią. Nad uczone książki i formuły matematyczne milszą nam była wesołość i pusta rozmowa tej dziewczyny.

Zabawne dziecko! Miała szesnaście lat, a trzęsła domem. Ona wydawała rozkazy służbie, mnie wyciągała na zamiejskie wycieczki, a Janka namówiła, ażeby się uczył tańcować! Prawda, że owe lekcje tańca trwały bardzo krótko.

VII

Tymczasem w społeczeństwie zaszły gwałtowne zmiany. W domach, sklepach, szkołach, warsztatach zapomniano o chlebie, obowiązkach codziennych, nawet rozrywkach — dla idei. Zdawało się, że zginął rachunek i rozsądny egoizm i że wszystkie zdolności ludzkie utonęły w uczuciu.

Nad krajem unosiło się już widmo z mgły i żelaza, które przeczuwał każdy...

Przygotowano na podstawie bookini.pl